Nr. 7. Lwów, dnia 20. lutego 1892 r. Wydawnictwa Rok XV.

# GONIEC i ISKRA

(Dziennik dla wszystkich.)

**Czasopismo humorystyczno-satyryczno-literackie, illustrowane.**

Numer pojedyńczy **20.** ct. w. a. — Dodatek osobny dla nieprenumeratorów **10.** ct. w. a.

**Goniec i Iskra** wychodzi: 1., 10., i 20, każdego miesiąca, zaś **dodatek osobny** również **illustrowany** 25 każdego miesiąca. Nadto, prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują osobne *bezpłatne premia illustrowane*. Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z **osobnym dodatkiem** i **premiami** wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Dodatek osobny** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry" kosztuje **10 ct. w. a.** W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australjii innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku, Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi. lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych*, lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora.

*Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.*



**Ksiądz Florjan Oksza Stablewski,**

Arcybiskup Gnieznieńsko-Poznański, Prymas Polski. (Rysowane z fotogramu Mąkego z Gniezna. Patrz artykuł pod tym samym tytułem na odwrot. stronnicy.)

## Ksiądz Florjan Oksza Stablewski,

**Arcybiskup Gnieźnieńsko-Poznański, Prymas Polski.**

(Do portretu).

Rodzina *Okszów Stablewskich*, z której pochodzi dzisiejszy arcybiskup gnieźnieńsko-poznański, wywodzi się z Stablewic w ziemi Chełmińskiej, a która to posiadłość istniała już w 1400 roku. Była to posiadłość szlachecka, należąca do starożytnego szczepu Okszyców W roku 1667. Jerzy z Stablewic Oksza Stablewski, opuściwszy gniazdo rodzinne, przeniósł się do Wielkopolski i tu stale osiadł. Dziad arcybiskupa, Kajetan, sędzia pokoju i dziedzic dóbr Zalesia, ożeniony z Różą z Korytowskich herbu Mora, miał siedmiu synów i dwie córki; z tego rodzeństwa Onufry był ojcem księdza *Florjana Stablewskiego.*

Ś. p. Onufry Stablewski, dziedzic dóbr Duszna, oficer wojsk Napoleońskich, zaślubił po powrocie z kampanji ś. p. Emilję Kurowską, herbu Szreniawa, córkę Józefa, radcy apelacyjnego w Poznaniu i Marjanny Eufrozyny Rozalji Drwęskiej, herbu Gozdawa, pisarzówny ziemskiej poznańskiej, rodzonej siostry, między innemi, Maksymiljanowej Taczanowskiej. Ś. p. Emilja, która w rodzie senatorskim już w roku 1402 posiadała arcybiskupa gnieźnieńskiego i kanclerza wielkiego koronnego: Mikołaja Kurowskiego, miała pięcioro dzieci: ś. p. Józefa, majora wojsk pruskich, dziedzica Tworzymirek, Kajetana, poległego w powstaniu w roku 1863, Bolesława, zamieszkałego w Królewstwie Polskiem, Pelagję i najmłodszego z rodzeństwa: ks. arcybiskupa *Florjana*, powołanego na stolicę Prymasów dawnej Polski na początku 1892 r.

W szeregu arcybiskupów gnieźnieńskich, będzie ks. *Florjan* arcypasterzem 76. z rzędu, a z kolei Florjanem II. Pierwszym z imienia Florjanem, był Florjan książe Czartoryski, który na stolicy gnieźnieńskiej zasiadał w roku 1674.

---

## Od ręki.

= Kronika żałobna.

Zmarł w Warszawie ś. p. Karol Kucz. Gdy niedawno zmarły weteran polskiego dziennikarstwa obchodził 50-letni jubileusz — zamieściliśmy portret jubilata w „Gońcu i Iskrze" wraz z obszernym artykułem o jego życiu, działalności i ze względu na przezacny charakter, niesłychanej popularności w Warszawie — dziś nad świeżo zamkniętą mogiłą, nie pozostaje nam już nic, jak powtórzyć w krótkości to, co o zmarłym wszyscy koledzy po piórze napisali:

Umarł więc jeden z najstarszych literatów i dziennikarzy — i najszlachetniejszych ludzi. Imię ś p. Kucza było równie dobrze znanem, jak szczerze i prawdziwie cenionem we wszystkich warstwach społeczeństwa naszego — i wszędzie też śmierć jego obudziła żal głęboki, obok wspomnień serdecznych z życia szlachetnej tej postaci. Długoletni pracownik na niwie publicystycznej, urodził się w roku 1815. w Pułtusku i tam też w ówczesnej szkole ks. ks. Benedyktynów, otrzymał początkową edukację. Zawód literata i dziennikarza rozpoczął ś. p. Kucz w roku 1839 w wychodzących naówczas pismach warszawskich, jak: w „Przeglądzie Warsawskim", „Magazynie Mód", „Gazecie Codziennej" etc. W roku 1840 wydał „Próby poetyczne", a równocześnie pracował i dla sceny. Komedje ś. p. Kucza; „Suknia balowa", „Przebiegły kuzynek", „Ulica nad Wisłą", „Rodzina Mazurów" i „Godzina u dziennikarza", urozmaicały przez dość długi czas repertuar teatru Rozmaitości. W r. 1850, po śmierci Ludwika Dmuszewskiego, objął ś. p. Kucz redakcję „Kurjera Warszawskiego", następnie zaś założył „Kurjer Codzienny", około też którego skupiły się naówczas wszystkie, że tak powiemy, szlachetniejsze siły dziennikarskie, a „Kurjer Codzienny" ówczesny cieszył się taką sympatją i popularnością, o jakiej dzisiejszy marzyć chyba nie może. W roku zeszłym ś. p. Kucz obchodził 50-letni jubileusz swej pracy na polu publicystycznem, z okazji którego otrzymał liczne dowody tej ogólnej życzliwości i czci, jakie mu się należały najsłuszniej i z jakiemi zeszedł do grobu. Cześć jego zacnym i szlachetnym cieniom!

= Szczęść Boże!

W Stanisławowie powstaje stały teatr im. Aleksandra hr. Fredry, którego dyrekcję od połowy kwietnia b. r., obejmuje pan Lucjan Kwieciński, dotychczasowy artysta teatru lwowskiego. Budynek teatralny jest własnością Towarzystwa muzycznego im. Moniuszki w Stanisławowie, które też zawarło umowę z p. Kwiecińskim na lat sześć z warunkiem, aby przynajmniej przez cztery miesiące w roku, stale i bez przerwy, dawał przedstawienia w tym teatrze — resztę miesięcy, pan Kwieciński ma prawo, ze swojem dramatycznem towarzystwem, objeżdżać inne większe miasta w Galicji, co też będzie czynił. Teatr im Aleksandra hr. Fredry w Stanisławowie, jest bardzo ładnym i podług najnowszych wymagań postawionym budynkiem, w którym obszerna sala teatralna mieści 319 foteli i krzeseł, parter stojący, balkon fotelowy i krzesłowy, 10 lóż i galerję — jednem słowem, w teatrze stanisławowskim pomieścić się może przeszło 500 osób. Oprócz tego w gmachu teatralnym mieszczą się sale, przeznaczone dla użytku towarzystwa muzycznego, dla restauracji, kawiarni i obszerna kancelarja teatralna.

Ciekawe i nadewszystko w naszych stosunkach, pouczające, są szczegóły, dotyczące powstania pięknego budynku dzisiejszego teatru, im. Aleksandra hr. Fredry w Stanisławowie — dowodzą one, że silna wola, energja, gorąca i szczera chęć służenia dobru publicznemu, więcej zdziałać nieraz mogą, aniżeli leżące, jak barany, bezczynnie, kapitały i ludzie z nabożeństwem spoglądający się na nie i oblizujący się na ich wspomnienie. Gmach teatralny Towarzystwa muzycznego im. Moniuszki w Stanisławowie, można powiedzieć, stanął z drobnych składek, z szóstaków, a zbierał je, ciułał, manipulował z nimi, ma się rozumieć, przy pomocy garści ludzi dobrej woli, p. Bolesław Szameit, obecny prezes Towarzystwa muzycznego im. Moniuszki w Stanisławowie. On to chodził, kołatał, naprzykrzał się, rachował, kombinował, myślał od świtu do późnej nocy — działał i doprowadził do tego, że wybudował gmach, który pod względem architektonicznym, jest ozdobą miasta, a dla sztuki polskiej stanie się ogniskiem i domem rodzinnym. Teatr ten zbudowany jest podług planów architekta p. Witołda Miłkowskiego, a budowa tegoż dokonana została pod kierownictwem tutejszego inżyniera, p. Józefa Łapickiego, który w tem kierownictwie, właśnie, dał dowody niezwykłych zdolności technicznych, wielkiej energji i niezmordowanej pracy. Tyle o nowem i pięknem mieszkaniu dla sztuki polskiej w Stanisławowie — słówko jeszcze o nowej dyrekcji teatru im. Aleksandra hr. Fredry.

Pan Lucjan Kwieciński, jest artystą pierwszorzędnym, o talencie tak czystej wody, że jej nie jest w stanie zamącić, ani prywata, ani zawiść — nic, jednem słowem — dołączywszy do tego szczególnej szlachetności charakter osobisty, zacność i chodzenie prostemi a rzetelnemi drogami — można tylko powinszować Towarzystwu muzycznemu im. Moniuszki, że pozyskało na dyrektora teatru polskiego w Stanisławowie, takiego artystę i takiego człowieka, nie mówiąc już o tem, że państwo Kwiecińscy, jako para aktorska, w najpiękniejszych dziś latach życia, są ozdobą sceny narodowej, w ogólnem znaczeniu tego pojęcia, a więc dla teatru w Stanisławowie, rozpoczynającego swój żywot, stanowią, po prostu, granitowy fundament. Wiemy o tem, że mimo silnego poparcia ze strony obywatelstwa w Stanisławowie i przyrzeczonej subwencji od gminy — nowy dyrektor, przełamać musi niejedną trudność, zwalczyć niejedną przeszkodę — obleją go nieraz kubłami zimnej wody — ale jesteśmy przekonani, że wszystko to się chwyci za czuprynę i, że teatr im. Aleksandra hr. Fredry, pod dyrekcją Lucjana Kwiecińskiego, stworzy dla prowincji dobrą, stałą scenę, która służyć będzie wiernie, uczciwie i pożytecznie interesom sztuki polskiej. Sejm krajowy, subwencji dla takiego teatru, z największą pewnością, nie odmówi. Ma ją prowincjonalny teatr ruski, który pod obecnem kierownictwem, jest często, tak bezczelnym, że obraża nasze uczucia narodowe — dla czegożby nie miał jej dostać teatr polski, którego głównem zadaniem będzie, podnoszenie ducha polskiego?

Wrócimy jeszcze do teatru im. Aleksandra hr. Fredry, gdy p. Kwieciński obejmie faktycznie dyrekcję — tymczasem, z głębi serca: Szczęść Boże!

= Nie mamy czasu — to darmo!...

I ci co robią coś we Lwowie, i ci, co nic nie robią — nie mają nigdy czasu... A. jednak, ten czas idzie sobie swoją drogą, a ludziska swoją i tak wciąż razem idą oboje — czas robi swoje, a ludzie swoje, a z tego to wynika, że czas robi wszystko, co powinien a ludzie w pięknym Lwowie, nie robią nawet tego, co mogą zrobić z łatwością...

Pan Chamiec, kiedyś tam bałagałuta w kijowskim uniwersytecie za czasów Sowińskiego — dziś świeżo upieczony „prezes" Wydziału Krajowego, tak się zanużył we fluktach autonomicznych, że na drzwiach do swojego urzędowego *tusculum* przybił napis, iż tylko przez godzinę, jest w stanie przyjmować interesantów, a ponieważ na tą naznaczoną godzinę, często wypadają sesje i interesa i pana „prezesa" na zewnątrz — więc pan Chamiec cały jest pochłonięty przez autonomję. . W prawdzie, Thiers, który był tylko prezydentem republiki francuskiej przez kilka godzin codziennie przyjmował interesantów i jeszcze miał czas przejrzeć wszystkie dzienniki, aby trzymać rękę na pulsie opinji publicznej; — wprawdzie, pan namiestnik Kazimierz hr. Badeni w środę i niedzielę nie raz po pięć godzin z rzędu przyjmuje po kolei interesantów, a każdego dnia, gdy się kto zamelduje z ważniejszym interesem, natychmiast przyjęty zostanie; w prawdzie, pan marszałek krajowy, książe Sanguszko, w każdej chwili i o każdej godzinie przyjmie każdego, ale, co tam — kuryca nie ptica, akuszerka nie dziewica, a p. Chamiec nie ma, wśród naszych stosunków, powodu, do tracenia drogiego czasu dla głupich interesantów; nie ma potrzeby obmacywania pulsu opinji publicznej, raz dlatego, że znowu niema czasu na czytywanie gazet i pism perjodycznych, które dla honoru, od pana marszałka bierze z drugiej ręki, a powtóre, gdzie u nas ma szukać tej opinji publicznej, która, prawpodobnie, kątem mieszka za rogatką — i po co jej szukać? kiedy najwygodniej, gdy ona sobie tam siedzi biedna, wynędzniała, głodna, sprągniona, bo wtedy siedzi cicho i nie przeszkadza nikomu w karjerze życiowej. Nam z resztą, nie potrzeba żadnej, jakiejś tam opinji, tylko trzeba tak robić, aby był wilk syty i koza cała, a tak właśnie, robi pan Jaksa Antoni Chamiec i chwała Bogu dobrze mu się dzieje na tym dużym świecie i na tym małym światku galicyjskiego zgrzytania zębów i wszelakich innych uciech i radości...

## Córka Socjalisty.

**Powieść z angielskiego.**

(Ciąg dalszy — patrz Numer 6).

Śledztwo z powodu śmierci Jonatana Boldwooda przeprowadzonem zostało nazajutrz i Lashmar był mu obecnym. Świadków znalazło się pełno, którzy widzieli jego upadek. Straż ogniowa nie była winną; wszyscy pracowali z poświęceniem po drugiej stronie palącego się budynku, w któ-

rym, zresztą, nikt więcej z jego mieszkańców nie zginął. Jedyną ofiarą był ten ojciec, usiłujący ratować dziecko.

Nikt się nie zjawił, ktoby się odezwał, czem Boldwood był niegdyś, lub dał dowód jakiejś dla zmarłego życzliwości. Gdy jeden z urzędników zapytał, co się stało z dzieckiem, lord Lashmar wystąpił oświadczając, że je zaadoptował i za przyszłość jego odpowiada.

— O ten przywilej nikt się chyba z tobą, milordzie, ubiegać nie będzie — rzekł urzędnik. — Spodziewam się, że dziecko wyrośnie ci na pociechę i zawdzięczy wszystko, co dla niego czynisz, milordzie.

Pomiędzy obecnymi wszczął się szmer uwielbienia dla młodego wybawcy i dobroczyńcy; Lashmar zaś przed opuszczeniem miasta oznajmił, że koszta przyzwoitego pogrzebu bierze na siebie, zastrzegając, aby się ten smutny obrządek z zachowaniem religijnych przepisów odbył.

Sam wziął w nim udział w dwa dni później, a i ludność Brummu tłumnie nań pospieszyła dla okazania swej sympatji ulubionemu przywódcy. Lashmar powiedział sobie, że przyjdzie dzień, kiedy Stella zapyta go o pogrzeb ojca, zapragnie, aby ją do jego grobu zaprowadzono, a on chciał być w możności zapewnienia ją wtedy, że stał przy tym grobie, gdy grudki ziemi na trumnę padały z towarzyszeniem słów wiary, nadziei i boskich obietnic

Stał więc przy pastorze, gdy ten podniosłe słowa wymawiał, a jego ręka pierwsza rzuciła pęk śnieżno białych róż na trumnę demagoga.

Ostatnie letnie kwiaty zakwitły, powiędły i Stella przestała się napierać, aby ją do ojca zaprowadzono. Względem swego dobroczyńcy okazywała się łagodną i posłuszną i wkrótce zaczęła się do niego przywiązywać. Polubiła jego towarzystwo; polubiła ogrody, łąki, książki z obrazkami w bibliotece, gdzie siadywała na podłodze, przewracając spokojnie karty illustrowanej edycji biblji, podczas, gdy Lashmar czytał lub pisał, nie doznając żadnej przeszkody z powodu jej obecności. Stella czuła się szczęśliwą pod opieką troskliwej Betsy, otoczona wygodami i przyjemnościami swego nowego życia, ale pomimo tego dziecina nie zapominała ojca. Bywały dnie, w których czołko jej posępniało i łzy spływały po twarzyczce, gdy pytała, »czy tatko n i g d y nie wróci?« Czasem Lashmar żałował, że jej od razu prawdy nie powiedział i zwątpił w swój rozum, który mu poradził nie zapoznawać tak wcześnie tej młodocianej istoty, ze znaczeniem straszliwego wyrazu »śmierć«. Ale łudząc ją tak długo, nie mógł jej teraz wyprowadzać z błędu. Mówił więc jej tylko na swój poetyczny, nieokreślony sposób o tej pięknej krainie, w której wszyscy razem kiedyś mieszkać będą.

Raz Stella zapytała go o nazwę tego kraju, odpowiedział jej wtedy, że się zowie »Złota Jerozolima«.

Jak tylko Stella ujrzała kogo obcego w domu, lub w ogrodzie, biegła ku niemu i zaglądała mu w oczy z nadzieją, że to może »tatko« niespodziewanie wraca. Każdy wysoki barczysty mężczyzna zobaczony zdaleka, stawał się mimowolnym sprawcą gorzkiego rozczarowania dla maleńkiej, która zwykle zawody te, rzęsistymi opłakiwała łzami.

Było to bardzo inteligentne dziecko, na wiek poważne, wciąż się o coś rozpytujące. Wszystko ją zaciekawiało, słońce, księżyc, gwiazdy, ziemia i zwierzęta. Książki z obrazkami napełniały ją ciągłym podziwem i zachwytem. Lashmar okazywał swojej ludzkiej zabaweczce niezmordowaną cierpliwość. Odkładał wszystko, aby odpowiadać na dziecinne zapytania Stelli, wytłómaczyć jej jakiś obrazek, opowiedzieć bajeczkę, zaspakajając jej chciwy wiedzy umysł.

Boldwood nie zaniedbał umysłu swej jedynaczki i można powiedzieć, że nauczył ją wielu takich rzeczy, bez których byłoby się jeszcze mogło obejść.

Stella była już od miesiąca w zamku, a nie spotkała jeszcze, ani razu lady Lashmar. Matka Wiktora odwiozła swego jedynaka do Eton i zabawiła tydzień w Windsor, żeby chłopcu gorycz rozłąki osłodzić. Rozmawiała z nim o przyszłości, o jego karjerze, usiłując rozniecić zarzewie ambicji w tym młodym umyśle.

Lady Lashmar nigdy nie napomknęła, ani słowem swemu jedynakowi o nadziei, jaką pielęgnowała w swem sercu, że tak piękny, żwawy chłopak odziedziczy kiedyś mienie i zaszczyty po swym przyrodnim bracie i teraz również nie dała mu poznać, jakim ciosem było dla niej zdanie sir Wiliama Spencera. Czuła, że ta nadzieja była nie dobrą i nienaturalną, ale mówiła sobie, że spełniła zawsze sumiennie obowiązki swoje względem pasierba i spełniać je będzie w dalszym ciągu, co przecież nie przeszkadza jej myśleć, że gdyby Opatrzność uwolniła go od ciężaru egzystencji, byłoby to bardzo mądre i łaskawe ze strony tejże Opatrzności, zarówno dla Lashmara, jak dla Wiktora. Ale lady Lashmar była zanadto dobrze wychowaną, żeby się przeciw wyrokom bożym buntować miała. Nie na próżno chodziła do kościoła dwukrotnie w każdą niedzielę i spełniała wszystkie przepisy religijne z najskrupulatniejszą drobiazgowością.

Wróciła do Midelleshire, gdzie pasierb powitał ją serdecznie, wyjechawszy na jej spotkanie na stacją; nie pomijał żadnej sposobności okazania jej wosokiego szacunku i należnych względów. Stał na platformie, gdy pociąg się zatrzymał i lady Lashmar ujrzawszy go pomyślała, że nigdy go tak dobrze wyglądającym nie widziała.

— Nie dowiedziałabym się, gdyby się przepowiednia sir Williama spełniła — wygląda, jak gdyby miał żyć lat sto — rzekła do siebie, a potem z westchnieniem szepnęła. — Biedny mój Wiktor!

Pomimo całej swej religijności, widziała w tem dziwną niesprawiedliwość, aby jej syn w całej pełni zdrowia, sił i męskiej urody, był zmuszony ustąpić pierwszeństwa chorowitemu, ułomnemu bratu.

— Jakżeś się opalił! — rzekła, witając go. — I jak ci z tem bardzo do twarzy.

— Ani razu mnie głowa nie bolała od twego, matko, wyjazdu. Te zapewne dla tego, żem ciągle prawie był na świeżem powietrzu.

— Radziłabym ci więc wyrzec się dachu nad głową i obcować zawsze pod gołem niebem — rzekła macocha z przymuszonym uśmiechem.

Przez całą drogę od stacji nie wymówiła już, ani słowa tłómacząc się zmęczeniem. Nie spytała Lashmara o wychowankę, ale myśli jej mimowolnie zwróciły się ku niej, gdy zbliżali się do parku. Dla tego to dziecka Lashmar przepędzał całe dnie na dworze, opalając się, jak parobek. Ta to przybłęda ożywiała go i nowy bodziec życiu jego dała. Lady Lashmar, jak wiemy, była zanadto pobożną, żeby się użalać na opatrzność, ale przyznawała sobie prawo gniewania się, jak najmocniej na sierotkę Boldwooda.

Nazajutrz rano stała w rannym negliżu na balkonie, napawając się cudowną świeżością pawietrza, które płynęło od łąk i rzeki, wonne i orzeźwione. Nagle wśród różanych kwiatników, ujrzała dwie postacie: Lashmara i biało ubranej dziewczynki. Dziecko biegało od kwiatka do kwiatka, on chodził po alei z książką w ręku, ale od czasu do czasu podnosił wzrok na dziecko i zamykał książkę, aby porozmawiać z małą.

Lady Lashmar przypatrywała im się długo.

— Widział kto kiedy podobną niedorzeszność! — myślała pogardliwie.

W kilka dni później spotkała po raz pierwszy sierotkę na kurytarzu. Stella była sama, biegła, niosąc w fartuszku pęk dzikich kwiatów, wesolutka, swobodna szczęśliwa. Wracała, właśnie, z rannej przechadzki. Lashmar woził ją łódką po rzece.

Lady Lashmar położyła rękę na ramieniu dziewczynki i pochyliła się, aby się lepiej drobnej twarzyczce przypatrzyć.

— Brzydka! — Nie! Nie taka brzydka, jak się na pierwszy rzut oka dawniej zdawało. Rysy były zbyt ddlikatne, żeby najbardziej niechętne oko mogło je nazwać brzydkiem. Oczy miała duże — zbyt wielkie i ciemne, jak na dziecko, ale u dorosłej osoby byłyby to oczy godne zazdrości.

— Nie dziwiłabym się, gdyby to małe licho na łedną kobietę wyrosło — pomyślała milady, a wówczas, kto wie, co może się stać? Lashmar może się ożenić. Przy jego ekscentrycznych, jak nazywała, pojęciach, nicby w tem nadzwyczajnego nie było. Dziewczynka miała przecież dopiero pięć lat, więc za dwanaście, trzynaście lat, mogłaby dopiero iść za mąż. To przynajmniej stanowiło pociechę pewną dla lady Lashmar, bo do tego czasu pasierb jej, czekając na nią, inną się nie zajmie.

Lady Lashmar nie mogła mimo to przezwyciężyć swej odrazy od tego dziecka.

— Jak ci na imię? — zapytała ostro.

— Stella — odparło dziecko, śmiało spoglądając na dostojną panią, nie zlęknione zgoła wspaniałością postawy i groźnem zmarszczeniem brwi mówiącej do niej nieznajomej.

— Stella! Cóż to za teatralne, pretensjonalne imię? Zapewne lord Lashmar ci je nadał?

— Nie, to tatko. Zawsze mnie Stellą nazywał. Czy pani nie wie, gdzie jest mój tatko? — dodała dziewczynka, spoglądając z nagłem zajęciem na nową znajomą.

Lady Lashmar chciała jej odpowiedzieć. Jeszcze chwilę, a okrutna prawda byłaby wyszła na jaw, ale wchodzący w porę lord Lashmar, przeszkodził temu.

— A!... mama wdała się w gawędkę ze Stellą — zawołał wesoło. — Nieprawdaż, że dobrze pod opieką poczciwej Betsy wygląda?

— Betsy za strojnie ją ubiera — rzekła milady z pogardliwem spojrzeniem na kremową sukienkę, pąsową szarfę, pąsowe trzewiczki i kolorowy naszyjnik na delikatnej białej szyjce.

— O? to ja tak lubię, aby ładnie wyglądała. To mój promyczek słońca i pię-




— Był pan na balu lekarzy?...
— Nie byłem.
— Dlaczego?...
— Bo, jak widzę tylu lekarzy, to mi się zaraz cmentarz przypomina... A pani była?...
— Nie.
— Dlaczego?...
— Bo jestem wdową po lekarzu i nie chcę dostać recydywy...

---

kna w posępnem życiu książkowego mola.— Możesz odejść, Stello. Idź, zjedz obiad, a o godzinie czwartej przyjdź do mnie na lekcją czytania. Do widzenia zatem!

Pochylił się, aby ją pocałować i odprawił ją z uśmiechem. Dziewczynka oddalała się, skacząc i powtarzając półgłosem: — O czwartej, o czwartej!... mam przyjść o czwartej — jak gdyby to sobie dobrze w pamięci zanotować chciała.

Lady Lashmar czuła bezowocność argumentacji ze swym pasierbem; to jego stanowcze, spokojne usposobienie pobijało ją zawsze w każdej poważniejszej rozprawie. W drobnostkach ustępował jej Lashmar chętnie. Pozwolił jej rządzić w domu, którego był panem, i wyrzucać pieniądze, aby utrzymać ten dom na takiej stopie, która przewyższała jego chęci, ale za to w kwestji własnych uczuć i przekonań, chciał on zawsze być zupełnie niezależnym.

Milady, po dojściu do pełnoletności Lashmara, pragnęła bardzo usunąć z domu jego starego guwernera, którego zgarbiona, zaniedbana postać odbijała niemiłym, nieestetycznym przeciwieństwem od elegancji Kashmar-Castle. Gabryjel Werner nauczył swego ucznia wszystkiego, co sam umiał, a obecnie brał dwieście funtów szterlingów pensji za to, że nic nie robił, jak uważała milady. Gdy, jednak, przedstawiła ten swój pogląd pasierbowi, odpowiedział, że pragnie, aby stary jego mentor do końca życia pod jego dachem pozostał.

— Werner jest za stary, żeby się znów miał po obcych kątach tułać — powiedział — mnie przydatnym on jest bardzo, jako sekretarz i bibliotekarz. Porządkuje mi książki i pisuje listy w interesach.

— Werner tak się zna na interesach, jak ja na astronomji — rzekła milady pogardliwie.

— Na szczęście ja się na nich znam i mówię mu zawsze, co ma pisać.

Więc Gabrjel Werner pozostał.

Był to cichy, pochylony od ciągłego ślęczenia nad księgami staruszek, maleńki, blady, o srebrzystych włosach, spadających mu na ramiona. Mieszkał w zamku, nie nasuwając się na oczy jego dumnej pani. Pół życia przesiedział w saloniku przy bibliotece sam, albo w towarzystwie Lashmara.

Czasami, gdy Lady Lachmar, była w dobrym humorze, zapraszała go na śniadanie, albo nawet na obiad, jeżeli się zdarzył gość uczony, którego bawić i słuchać nie miała ochoty. Stopniowo lady Lashmar oswoiła się przecież z myślą, że Werner dni swoje zakończy na łaskawym chlebie swego dawnego wychowańca. Doszło do tego, że robiła mu nawet ciepłe mitenki na drutach, ktore staruszek kładł na ręce z dumą i mówił o nich, jako o dowodach »łaskawych względów« milady.

Do niego teraz lady Lashmar zwróciła się z tajemnem pragnieniem zjednania go sobie. Ujrzawszy go na tarasie z olbrzymią książką pod pachą, tegoż, właśnie, dnia, kiedy spotkała się ze Stellą na korytarzu, podeszła ku niemu z uprzejmym uśmiechem.

— Jakże pan doskouale wyglądasz, kochany panie Werner — rzekła — o wiele lepiej, niż przed moim wyjazdem.

— To zapewne dla tego, żem więcej na świeżem powietrzu przebywał, odparł staruszek bezwiednie, dając jej tę samą odpowiedź, co Lashmar. Lord Lashmar i ja spędzaliśmy całe dnie nad rzeką, korzystając z tej cudownej pogody. Zabieraliśmy książki, śniadanie...

— I ostatnią zabawką lorda Lashmar było to szkaradne dziecko! — przerwała lady Lashmar.

— Mogę zapewnić milady, że to bardzo miluchna i roztropna dziewczynka. Nie widziałem nigdy tak wcześnie rozwiniętego umysłu, i...

— Nie dziwię się, że dziecko takiego ojca może być sprytnem — przerwała milady — za parę lat, może stać nawet aż za sprytnem, źródłem niewysłowionych trosk i kłopotów dla nas wszystkich, jeżeli pan, kochany panie Werner, nie użyjesz swego wielkiego wpływu na Lashmara, bo pan masz nad nim wpływ, istotnie, zdumiewający.

— Zbyt pani przeceniasz mój wpływ, milady — wyszeptał skromnie Werner.

— Tak, drogi panie — ciągnęła dalej przebiegła kobieta — musisz pan koniecznie wyższością swego umysłu podziałać na biednego Lashmara. Jest on bardzo rozumny — nie przeczę — ale marzyciel; trzeba, abyś pan wykazał niebezpieczeństwo tej jego szalonej fantazji i udręczenia, jakie sobie ztąd gotuje. Cóż on, na Boga! pocznie potem z tem dzieckiem, które może pójść na złą drogę? A że pójdzie na złą drogę, to rzecz prawie pewna. Mocno wierzę w dziedziczność skłonności.

— A ja, droga lady Lashmar — również głęboko wierzą w wychowanie i za nic na świecie nie odwodziłbym Lashmara od tej jego, jak pani powiadasz, fantazji. Należy pamiętać, że on to dziecko z narażeniem własnego życia uratował, że ono do niego należy A przytem — jemu tyle sprawia przyjemności ta opieka nad biedactwem. Dziecko go bawi, zajmuje, rozrywa... a pomyśl pani, jakiem to błogosławieństwem jest zapomnieć o sobie dla kogoś, względem którego natura okazała się tak niemiłosierną.

Gabrjel Werner umilkł, ale dla tego tylko, aby poszukać w myślach nowych argumentów na przekonanie milady.

— Nie lękaj się pani złych następstw — ciągnął też dalej. — Ja odpowiadam za to dziecko i obiecuję wykazać, że wychowanie weźmie górę nad zdrożnemi skłonnościami, jeżeli, w ogóle, jest co zdrożnego w tej młodej istocie.

Lady Lashmar nie nalegała dłużej. Widocznie z tej strony nie można się było spodziewać żadnej pomocy.

— Muszę iść się ubierać — rzekła milady krótko i pożegnała Wernera.

Przez całe sześć lat następnych Stella była prawie szczęśliwa. Żyła w świecie, w którym dla niej wszystko było nowością: w świecie z jednej strony piękna i zbytku, z drugiej w świecie myśli, którego horyzont z dniem każdym się rozszerzał. Nauka była dla Stelli tem, czem słońce dla kwiatów, lub wiosna dla ptasząt. Jej żywy umysł otwierał się łatwo dla skarbów wiedzy, własna jej wyobraźnia opromieniała swojem światłem każdy przedmiot, a uczono ją tak, jak rzadko uczą obecnie dzieci w naszych przeoświeconych czasach. Lord Lashmar sam dla niej plan edukacji nakreślił. Miała się uczyć tylko tego, co ją zajmowało i roznieciało jej myśl bez żadnych pamięciowych, papuzich wysiłków. Historji tej ziemi, na której mieszkała, miała się uczyć nie z suchych naukowych seksternów, ale bezwiednie, z książek naukowych, z opisów podróży i przygód.

I tak pobierała naukę Stella latem na trawie i w łodzi na srebrzystej rzece, pośród wierzb smętnie pochylonych, a zimą przy kominkowym ogniu o szarej godzinie.

Gabrjel Werner codziennie na godzinę zabierał dziewczynkę do siebie, uczył ją czytać, pisać i rachować. To były jedyne systematycznie przeprowadzone gałęzie jej

nauki. Reszta odbywała się swobodnie, nieznacznie, u kolan Lashmara.

Życie płynęło w ten sposób jednostajny, który, jednak, nie ciężył nikomu z tego trojga, Stella rosła swobodna, zdrowa i szczęśliwa, dziecinny jej umysł począł już objawiać żywą ciekawość wiedzy.

Lady Lashmar często wyjeżdżała do Londynu na sezon wiosenny, gromadząc tam koło wyższe i rozrywki pragnące, towarzystwo; lato przepędzała w Homburgu, lecząc się na reumatyzm, a tam zabrała z sobą Wiktora. Na drugie wakacje zawiozła go też ze sobą do Szwajcarji, przyczem zawadziła o Paryż, gdzie bawili cały miesiąc. Lord Lashmar siedział w domu; wyjąwszy krótkiej wycieczki do Londynu w czasie wystawy malarskiej, nie ruszał się z miejsca; książki, obowiązki dziedzica obszernych włości, zajmowały mu czas, nie dając się nudzić. Wesołą rozrywką w tem życiu poważnie i pracowicie zajętem, była Stella i tak, otoczona wygodą i wytwornością, jaką dać może tylko wielki majątek, córeczka Boldwooda doszła do lat jedenastu. Można to było ściśle obliczyć, bo pamiętała dokładnie rocznicę swych urodzin. Jej tatko, który nie wracał, a którego biedaczka czekała wciąż z utęsknieniem, zawsze obchodził ten dzień uroczyście; mała dostawała od niego kwiatki i cukierki, więc data wbiła jej się w pamięci. Urodziła się, jak dziecko czarodziejskie w noc świętojańską.

Żaden szczegół ważniejszy o przeszłości Boldwooda nie doszedł nigdy do wiadomości lorda Lashmar. A że nikt nie zgłosił się dotąd po dziecko, można było mieć pewność, że nie zgłosi się nigdy. Była sierotą w całem znaczeniu tego wyrazu: nikt się o nią nie troszczył, nikt nie miał do niej prawa. Dla lorda Lashmar było to najważniejszą rzeczą, bo, ostatecznie, nikt nie mógł, ani chciał odebrać mu dziecka.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Bóg lepiej wie!

(Po arabsku).

Że nas żonka szczerze kocha
I nie patrzy w stronę, gdzie
Na rumaku ułan pędzi
Wiemy — lecz Bóg lepiej wie!...

Że przyjaciel nasz serdeczny
W biedzie nam dopomódz chce,
Chce, a przecież nie potrafi
Wiemy — lecz Bóg lepiej wie!...

Że oficer przy pałaszu,
Ćwiczony w wojennej grze,
Z tęsknem sercem jej wygląda
Wiemy — lecz Bóg lepiej wie!...

Że żydowski obywatel
Co się naszym bratem zwie,
Po bratersku nas miłuje
Wiemy — lecz Bóg lepiej wie!...

Że kto wart, ten w dobrym bycie,
A kto nie wart temu źle,
Jaka praca, taka płaca,
Wiemy — lecz Bóg lepiej wie!...

Że nadzieja, gwiazda jasna
Na chmurzystem życia tle
Blaskiem swoim nas nie łudzi,
Wiemy — lecz Bóg lepiej wie!...

Że za nasze gorzkie trudy
Czeka nas w przyszłości mgle,
Słodki raj, na drugim świecie
Wiemy — lecz Bóg lepiej wie!...

*Faust.*

## Niby racja...



— Moja Martynko, nie martw mnie, ucz się dobrze, sprawuj się dobrze, bo twoje złe postępowanie zapędzi mnie do grobu...

— E, proszę babci, przecież do grobu nikt nie pędzi, tylko wiozą tak ładnie i wygodnie...

## Gruszki na wierzbie,
czyli:
## Nowa Rada miejska,
czyli:
## Nowy teatr miejski we Lwowie
**z przypowieścią arabską.**

A więc skoro już *habemus novam radam*, może nareszcie, dowiemy się, kiedy też miasto wybuduje teatr, do któregoby się chodziło, jedynie, na przedstawienia, a nie po reumatyzm i newralgję. Zdawało by się teraz, że, jak się złączą dwa autonomiczne ciała ze sobą: Wydział krajowy i Rada miejska — to, przecież, coś się urodzić musi — zwłaszcza, że sangwiniczność i i szlachecki animusz Wydziału z roszkoszną namiętną potulnością i gołębią prostotą uroczej lwowskiej Rady miejskiej, nie raz już na rzecz sztuki i literatury szczepiły... gruszki na wierzbie... I jest nawet o tem ładna bajka arabska, którą, niedawno, w oryginale czytał mi turek, co sprzedawał *rachatłam* na halickim placu:

Król ogłosił nagrodę za najdłuższą powieść. Zgłosił się jeden autor, drugi, dziesiąty, setny — wszystko na nic — wszystko krótkie. Aż pewnego razu przychodzi staruszek i powiada:

— Królu! ja mam powieść, jaką chcesz — słuchaj! Był wielki monarcha, miał pod swojem panowaniem kraj obszerny i bogaty — ale monarcha bał się głodu dla swego ukochanego ludu i kazał wybudować ogromny śpichrz, na przestrzeni kilku morgów, a w nim od dołu do góry pomieścił zboże, które miał dobry król rozdawać ludowi, gdy go dotknie nieurodzaj i głód. I ze wschodu podniosła się szarańcza i chmury jej przyciągnęły do olbrzymiego śpichrza, bo poczuły w nim dużo i dobrego ziarna. Ale śpichrz był szczelnie zbudowany z kamienia i ogniotrwałej gliny. Po mozolnych poszukiwaniach, znalazły szarańcze jedyną dziurkę, ale tak małą, że tylko jedna szarańcza przez nią przejść mogła... Nie było innej rady — po kolei więc wchodziły szarańcze i przez dziurkę wynosiły po ziarnku ze spichrza...

— Bój się Boga! zawołał król — kiedyż to się skończy?...

— Uśmiechnął się powieścio pisarz arabski i rzekł:

— Pobawi się ta szarańcza, a tymczasem twoi następcy, najjaśniejszy panie, jadąc ze Wschodu w gościnę do odbudowanej — Polski, wstępować będą do Lwiego grodu, aby się zabawić w nowo wybudowanym pięknym teatrze miejskim, który tam wybudują rady miejskie w ciągu tego czasu, gdy szarańcze po ziarnku zboża ze spichrza wynosiły ..

*Nie - Arab.*

## Pigmalion.

Oto wyszedł na przechadzkę,
Znany wszędy impresarjo —
Pieśń pod nosem zaczął skoczną,
Lecz zakończył smutną arję.

Darmo, bowiem, całe życie
Do scenicznej wzdychał chwały —
Gwiazdy jego, po kolei,
Z horyzontu pospadały...

Każda była urodziwą,
Pełną czaru niewieściego —
Ale wszystkie miały głowy
Marne, nikłe, do niczego.

Widzi tedy impresarjo
Klęskę swoją oczywistą —
Nie wie, czem ma teraz zostać...
(Chyba wreszcie nowelistą).

* * *

Idąc dalej, jak rozpaczy
Obraz cichy, a ruchomy,
Na przedmieście zaszedł, kędy
Mali ludzie, małe domy.

I tu nagle, głos się ozwał
W mgle wieczornej z jakichś dołów,
Jak słowicza serenada
Lub, jak choral z sfer aniołów.

Impresario, śpiew ten słysząc
O metalu czystej wody,
Zaraz doznał niebywałej
W melancholji swej osłody...

* * *

„Daj mi córkę na naukę!“ —
Rzekł z wymową płomienistą
Do rodzica panny, który
Był flecistą i sznapsistą.

„Wyczaruję z piersi córki
Tremolanda i staccata,
Zrobię z niej boginię sceny,
Zrobię z niej fenomen świata!“

I nazajutrz Katarzynę,
W głos bogatą, słodki, tkliwy,
Dał na stancję do matrony,
Gdzie lokował swoje diwy.

* * *

Jeden tylko miał frasunek:
Ach, istota ta słowicza,
Była brzydką, bardzo brzydką
I z figury i z oblicza.

Krępa, tłusta i niezgrabna,
Miała oczy bez wyrazu
I wrażenie wywierała
Na pół klocka, na pół głazu.

Impresarjo już rozpaczał
I wychodził z całej weny,
Snując myśli o występie
Tej Gretcheny i Carmeny.

Siedzącemu bez humoru
Na rozkosznych marzeń tronie,
Szepnął geniusz w głębi duszy:
„Dokaż cudu, Pigmalionie!“

„A więc szlifuj, metal głosu,
Ton i wyraz, dźwięk i dzielność
A zarazem ciosaj klocek —
Tak się bierze nieśmiertelność“...

* * *

Więc powierzył Katarzyny
Muzykalne wychowanie
Profesorom w Windobonie
I maestrom w Medjolanie.

Otworzyli Katarzynie
Bramy seraficznych światów —
I sięgnęła do wyżyny
Tremolandów i staccatów.

Rok po roku, coraz więcej,
Głos się diwy wyaniela —
W trzecim roku Katarzyna
Już się zowie Mirabella.

* * *

Wystąpiła. Gdy zabrzmiała
Słodka głosu jej trylada,
Audytorjum w uniesieniu
Na kolana całe pada.

I z występem każdym rośnie
Melomanów uniesienie —
Była świetną, była wielką
I w Gretchenie i w Carmenie.

I poczęli latać za nią
Gogi z twarzą zapłonioną —
I wielbili Mirabellę
Recenzenci *unisono*.

* * *

A tymczasem impresarjo,
Pamiętając na zaklęcie,
Które geniusz jemu szepnął,
Ciosał klocka kształt zawzięcie.

Odkrywając po kolei
Wielkie sztuki talizmany,
Zrobił z brzydkiej Katarzyny
Cud piękności niesłychany.

Jej figurę mód mistrzyni
Harmonijnie sztukowała
A twarz szara — była teraz,
Jak z Karary marmur — biała.

W jej zaspanych, martwych oczach,
Tlił się teraz ogień święty
Zwłaszcza, gdy go podniecały
Blaski, perły i djamenty.

Śpiew czarowny Mirabelli
Oszałamia tłum i mami —
Jeden zaś z poetów młodych
Opisał piękność wierszami...

* * *

Impresarjo na nią patrzał
Ciągle okiem wielkiej dumy —
Oszołomion i omamion
Był tak samo, jak i tłumy...

Spoglądając przez trzy lata
Na genjuszu swego dzieło,
Wreszcie, poznał, że uczucie
W głębi serca pożar wszczęło.

W czarny frak się tedy ubrał,
Przez tę miłość rozzuchwalon,
I rzekł: „Diwo, bądź mi żoną!
Błagam ciebie, twój Pigmalion!“

* * *

Ledwie tylko głos miłości
W roztęsknionem zginął echu,
Już wylała Mirabella
Z ust kaskadę wielką śmiechu.

„Wiesz ty — rzekła — impresarjo,
Że pochodzę z tego stanu,
Który łączy się czasami
Z książętami z gór Bałkanu.

„Żal mi ciebie, Pigmalionie,
Idę za mąż. On jest hrabia,
Nie ma, wprawdzie, kapitałów,
Lecz mu imię herb ozdabia.“

* * *

I o dziwo! mistrz Pigmalion
Po wyklęciu tem brutalnem
Chodził ciągle za niewdzięczną
Z ubóstwianiem swem zapalnem.

Czasem targał sobie włosy
W zrozpaczeniu jakiemś dzikiem,
Lecz na wieki został diwy
Impresarjem — niewolnikiem.

Tylko sromał się niezmiernie,
Że się z nim to wszystko stało —
Na weselu z gołym hrabią
Aranżował ucztą całą...

*Włodzimierz Stebelski.*

---

# Teatr — koncerta — widowiska.

*Fiesco*, znany dramat Schillera, dawno nie grany u nas, wznowiony został i grano go parę razy w ciągu tygodnia z kasowem powodzeniem miernem, co dowodzi, że „szanowna“ publiczność lwowska, albo srodze zajęta jest karnawałowem fikalstwem i nie ma czasu chodzić do teatru, albo takie rzeczy, jak *Fiesco* za mądre na te głupie czasy... Sam dramat, rozgrywający się do pewnego stopnia w ramach historycznych starej Genui, osiadł już bardzo dawno na swojem stanowisku w powszechnej literaturze i krytyka, może się nim zajmować chyba tylko przy ogólnej charakterystyce pisarskiej postaci Fryderyka Schillera — recenzent teatralny, nie ma tu już nic do roboty. Przedstawienie dramatu na lwowskiej scenie, było bardzo staranne, tak pod względem wystawy, jak i reżyserji. Tytułową rolę grał pan Woleński. Pan Woleński był Fieskiem, ale Fiesko z szylerowskiego dramatu, zaledwo czasem dotknął się artystycznych skrzydeł aktora i w żadnej scenie nie wcielił się w niego... Dobrym, bardzo dobrym starym, fanatycznym republikaninem był p. Zboiński; ognistego kochanka Berty i dzielnego żołnierza grał p. Kwieciński — to już dosyć powiedzieć, choć rola to za szczupła dla takiego talentu. Murzynem był p. Chmieliński. Rola to trudna i ma swoją szeroką tradycję — u nas i na niemieckich scenach — pan Chmieliński z talentem niezwykłego artysty, wyszedł zwycięsko z tej roli. — Wszystkie inne role większe, lub mniejsze, odegrane były bardzo starannie i z precyzją artystyczną przez pp. Zawadzkiego, Szoberta, Trapszę, Walewskiego, Milewskiego, Wysockiego i innych. Co do pań — to w *Fiescu*, dwie są tylko większe role, a jedna główna, prawie drobna — więc nieszczęśliwą żoną Fiesca była pani Stachowiczowa, nieszczęśliwą jego i ukaraną przez niego kochanką, panna Pankiewicz, a Bertę, której książę wydarł „cześć dziewiczą“, zaprezentowała panna Czaplińska. Maleńką rólkę służącej żony Fiesca, wyszczebiotała panna Sznage.

---

Pani Borlinetto, jeśli się nie mylimy z Medjolanu, zawitała na lwowską scenę i przywiozła nam piękny głos mezzo-sopranowy, ładną i wyrazistą buzię i... męża uzdolnionego kapelmistrza — signor'a Conti. Zalety głosu i gry okazała pani Conti-Borlinetto w *Aidzie Giocondzie* i w *Carmenie*, jako Amneris, Laura, no i Carmen. Apropos *Giocondy* i *Carmeny* grano te opery w tym sezonie po raz pierwszy z przeszłorocznym panem Warmuthem i z tegoroczną nowalją: panną, czy, panią Busi, i z p. Bernhardtem. Pani Busi, która zrobiła ze swego głosu rodzaj formalnego trzęsawiska, śpiewała Giocondy partję ze zwykłą sobie zamaszystością nie poprzestając, ani na sekundę „tremolandy“, którą możeby najlepiej nazwać, wokalną galaretą. Pan Bernhardt dzielnie śpiewał Barnabę i pogromcę byków w *Carmenie* — imponował potężnym barytonem. Z dawniejszej obsady pani Kasprowiczowa w *Giocondzie* (ślepa matka) i pani Skalska (Michaela), oraz p. Jeromin w *Carmenie*, zasługują na zaszczytną wzmiankę. P. Zegarkowski z precyzją odśpiewał w *Giocondzie* drobną rolkę basową pomimo, że to nic nie znaczący epizod wokalny.

---

## Broń.

Łza ukryta, śmiech stłumion: to rzecz wyśmienita
Łzę połknij — gdy twe serce — krzywda szponem
[ściska,
Jak bandyta ofiarę — co w plon wyśmienita
Prócz łzy — wszystko na podpał rzuci ich ogniska.
— Śmiech, gdy zgrzyta — lecz w sobie — to broń
[wyśmienita!
Gdy zazdrość, biorąc na kieł, prze do walki zbliska...
W ciosach, pyta — mistrzyni — ciosów wyśmienita:
Czyś oszalał? że w oczach — skryty śmiech ci błyska!

*Fr. Lasocki.*

## Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

*Pan Latosiński w Cincinnati (Ameryka).* Dwa dollary otrzymaliśmy — prenumerata zapłacona do 31. grudnia 1891 r., o odnowienie dalszej prenumeraty, prosimy.

*Pan Kittel w San Francisco (Ameryka).* Brakujące numera odesłaliśmy — o nowy adres prosimy.

*Pytający w Rzeszowie.* Będzie.

*Głupiemu, jak but.* Nie protestujemy.

*Panna, której coś tam zawadza.* Któż to usunąć może: mąż, czy kto inny? Niech pani poszuka tego „kogoś innego“, postara się z niego zrobić męża, ale nie za pomocą wierszy, bo te, widocznie, są najsłabszą stroną jej poetycznej duszy...

*Pan Emilowicz w Podgórzu.* Za cały rok, należy się od pana zaległa prenumerata, wynosząca 8 złr. Przypominamy panu o tem tymczasem.

*Szan. Czytelnia w domu Zdrowotnym w Krynicy.* Prenumerata „Gońca i Iskry“, zapłacona jest po dzień 1. Lipca 1892 r.

*Pan L. F. we Lwowie.* Będzie w następnym numerze. — Żądane numera posłaliśmy.

---

## Nadesłane.

Z dniem 10 Kwietnia r. b., obejmuję dyrekcję **„Teatru Polskiego“** im. **„Aleksandra hr. Fredry w Stanisławowie“** na lat sześć, z obowiązkiem stałego przebywania w Stani-

sławowie, co najmniej przez cztery miesiące. W tym celu pragnę zorganizować trupę z doborowych sił do dramatu i komedji, z którą przez resztę miesięcy w roku, objeżdżać będę inne większe miasta Galicji. Odnoszę się więc do wszystkich pań i panów artystów dramatycznych którzyby chcieli pod mojem kierownictwem, dla dobra i rozwoju sceny narodowej pracować, aby się osobiście, lub pisemnie zgłaszali do mnie: *Plac Strzelecki l. 2 II. piętro we Lwowie.*

Osoby zaś, które dotychczas jeszcze wcale nie występowały na scenie, a pragną się poświęcić zawodowi aktorskiemu, mogą się zgłaszać do mnie codziennie między godziną 1. ,a 2. po południu. *Lucjan Kwieciński,*
(1—1) artysta dram. Teatru Lwowskiego.

---

**Pan M. Żenczykowski,** właściciel znanego zakładu introligatorskiego w Krakowie, przy ulicy Szpitalnej l. 40, otworzył we Lwowie, przy placu Marjackim, w hotelu Europejskim, filję swej pracowni. Obydwa te zakłady są zaopatrzone w najlepsze maszyny pospieszne, oraz inne przybory do wykonywania wyrobów galanteryjnych — pracuje w nich kilkudziesięciu uzdolnionych ludzi, to też mamy nadzieję, że wszelkie tego rodzaju wyroby zagraniczne z kraju naszego usunięte zostaną, jeżeli Sz. P. T. Publiczność zwróci na to baczniejszą uwagę i poprze przedsiębiorstwo krajowe, w którem wielu ludzi naszych znajdzie pracę stałą i dobrobyt. W zakładach introligatorskich p. M. Żenczykowskiego, wykonują się wszelkie roboty w zakres introligatorski i galanteryjny wchodzące, hurtownie i pojedyńczo, oraz teki i futerały na adresy, dyplomy i t. p.; również przyjmuje do oprawy obrazy i fotografje w ramy passe-portout, po cenach najprzystępniejszych bardzo gustownie. (5572-4-1)

---

Znany zaszczytnie od bardzo dawna **magazyn Drexlerów we Lwowie,** oraz fabryka materaców i pościeli wszelkiego rodzaju i gatunku, odznacza się taką obfitością towarów, że bez przesady najwyszukańsze wymagania pod każdym względem zadowolnić może. Niepposzlakowana rzetelność, z jakiej słynie ta firma chrześcijańska i zacne obywatelskie stanowisko, jakie w mieście naszem zajmuje — zjednały jej szerokie i niepodzielne uznanie u publiczności, tak, że kupiecka firma Drexlerów, może służyć na wzór innym. (5538-4-1).

---

Przedsiębiorstwo pogrzebowe, znane we Lwowie pod nazwą **Entreprise des pompes funebres** — jest, można powiedzieć, jedynem dziś u nas, które odznacza się wszystkiemi zaletami, jakie tego rodzaju przedsiębiorstwa mieć powinny. Przedewszystkiem, wieje od niego duch chrześcijański, a co za tem idzie, uczucie delikatności, godności i umiarkowania. Pan Kurkowski, właściciel firmy, powoduje się, nietylko samym interesem, lecz w wielu razach miłosierdziem. Nic też dziwnego, że dziś wszystkie niemal pogrzeby w mieście uskutecznia firma Kurkowskiego, bo pozyskała powszechne i niepodzielne zaufanie przez swoją rzetelność, delikatność i umiarkowanie w cenach, a przytem cała służba, przyrządy, uprzęż — jednem słowem wszystko, co do takiego smutnego obrzędu należy — jest u Kurkowskiego wzorowe, czyste, estetyczne, a jak potrzeba — wspaniałe. (2-2-5565).

---

**Zwracamy uwagę** na ogłoszenie **Dra Freysingera w Lisku.** Ogłoszenie to dotyczy szczepienia ospy, rzeczy, jak wiadomo, niezmiernie ważnej dla każdej rodziny. Dr. Freysinger pod każdym względem zasługuje na publiczne zaufanie, a nawet wdzięczność, gdyż jako specjalista lekarz daje zupełną rękojmię zdrowej krowianki. Pomijając już to, że ta krowianka na ostatniej wystawie krakowskiej, odznaczona została medalem rządowym, sama czynność wyrabiania jej przez fachowego lekarza i do tego tu w kraju, jest niezmiernie ważnym szczegółem. Dla tego wszystkim rodzinom gorąco zalecamy, aby po krowiankę do szczepienia ospy swoim dzieciom udawali się wprost do *Dra Freysingera w Lisku*, a mogą być spokojni o zdrowie swoich dzieci. Bliższe szczegóły znajdzie każdy w ogłoszeniu.
5288 st.—31

---

Z Tarnopola.

Bardzo słusznie jakiś mądry człowiek napisał, że kto pracuje w swoim fachu pożytecznie i uczciwie, tem samem jest patrj tą, bo pracą swoją przyczynia się do ogólnego dobrobytu Tacy ludzie są pożądani, szczególniej u nas na prowincji gdzie jak wiadomo, kupiec przemysłowiec walczyć musi z różnemi przeszkodami. Wśród przedsiębiorstw na zdrowych kupieckich podstawach opartych, cukiernia p. Dąbrowskiego w Tarnopolu, niezawodnie należy do najlepszych zakładów. Pod względem urządzenia, a szczególniej też pod względem cukierniczych wyrobów, zakład p. Dąbrowskiego, nie ustępuje ani na krok najpierwszorzędniejszym cukierniom, nawet w wielkich miastach. Złożyły się na to, przykładna staranność i rzetelność właściciela, oraz niezwykłe fachowe jego wykształcenie. To też p. Dąbrowski, nietylko jako właściciel cukierni i kupiec zażywa powszechnego uznania, lecz jako gorliwy obywatel, cieszy się szacunkiem i sympatją. Praca i rzetelność sprowadziły dla przedsiębiorstwa p. Dąbrowskiego dobre owoce, a szlachetny charakter i przymioty jego serca, zjednały mu imię dobrego i bardzo pożytecznego obywatela.
(5495-st.-8).

---

**Zakład masarski pod firmą Sosina w Tarnopolu,** wyrabia doskonałe wszelkiego rodzaju wędliny i delikatesy masarskie, które nie ustępują w niczem zagranicznym tego rodzaju wyrobom, są smaczne, zdrowe i z wzorową czystością przyrządzane, a zawsze świeże i w wielkim wyborze. 5284-6-4.

---

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.
Illustracje odbite w litografji A. Przyszlaka we Lwowie, ulica Kopernika l. 9.